

BAŁAMUT.

Czarownice Hiszpańskie.

(P. MERIMÉE)

Wycieczka do Murviedro bynajmniej mnie nie znudziła. Najałem razem konia i przewodnika z Walencyi, który miał mi towarzyszyć pieszo. Znalazłem w nim niezmordowanego gadułę i dość wprawnego oszusta, s tem wszystkiem dobrego i zajmującego towarzysza podróży. Wyjeżdżał on na harc z całą swoją dyplomacyą i wszystkimi krasomowczemi talentami, dla wyłudzenia mi jednego reala więcej nad umówioną płacę; atoli, w tymże czasie, tak żywo sprawy mej bronił po wszystkich zajezdnych gospodach, iż możnaby sądzić iż sam za wszystko płaci z własnej kieszeni. Rachunek który mi co ranku podawał, najeżony był zwykle mnóstwem *item* za naprawę rzemieni, nowe gwoździe, wino dla umywania konia, które bez wątpienia sam wypijał i t. p. — nigdy jednak nie odbywałem podróży z mniejszym kosztem. Umiał nadto namawiać mnie do skupowania tuzinami niepotrzebnych drobnostek, szczególnie zaś nożów, któremi okolica ta odznacza się. Uczył: jak należy wielki palec opierać na tępej stronie, ażeby, nie urznawszy się, brzuch przeciwnikowi, w razie potrzeby, rozplatać. Niebawem atoli przekłete te noże do żywego mi dojadły; rosładały się w kieszeni, gniotły w nogi i zawadzały do tego stopnia, iż, dla pozbycia się kłopotu, musiałem je samemuż mojemu przewodnikowi darować. Ulubioną jego zwrotką było: »O jakże znajomi Wielmożnego Pana cieszyć się będą, widząc wszystkie te piękne rzeczy, które Pan im z Hiszpanii nawiezie!« Niezapomnę nigdy ogromnego wora kasztanów, który moja Wielmożność dla znajomych swoich kupiła, i s których, przy pomocy wiernego mojego towarzysza, jeszcze przed przybyciem do Murviedro, nie pozostało ani jednego.

Chociaż przewodnik moj bywał na wielkim świecie, gdy niegdyś w Madrycie przedawał orszadę, zachował jednakże znaczną część narodowych swoich przesądów. Przez trzy dni które z sobą spędziliśmy miałem też dość czasu do przekonania się jakiej był religii. O Pana Boga mało się troszczył i wspominał o nim z największą obojętnością; ale za to wetował na Świętych, trzymając się przysłowia jednego ze starych swoich znajomych, który utrzymywał, iż w każdej sprawie pożyteczniejsi są przyjaciele w biórze aniżeli łaska samego ministra.

Wzgórza Królestwa Walencyi przedstawują często ruiny starożytnych zamków. Przejeżdżając około jednej z nich, przyszło mi do głowy zapytać: czy też są tam strachy? Przewodnik mój uśmiechnął się i odpowiedział iż o nich w Hiszpanii nie słyhać; a przymrużając oczy, jak człowiek chcący żart żartem odplacić, zapytał mnie nawzajem, czy widywałem co podobnego u siebie?

Język Hiszpański niema nawet słowa na oddanie tego wyrazu. *Duende*, które w słowniku znajdujemy, używa się raczej w znaczeniu chytrego diabła. *Duendecito* (mały Duende) byłby nawet nader właściwym nazwiskiem dla młodego człowieka, co chowa się za frankami jakiej młodej dziewczyny, bądź dla nastraszenia jej, bądź w innym jakimkolwiek celu. Lecz owych wysokich, białych widziadeł, odzianych w bieli i brzęczących kajdanami, ani widać ani słyhać w całym kraju. Znajdują się wprawdzie zaczarowani maurowie, których osadzają miejscami na załodze w rozwalinach wież starożytnych; lecz w ogólności są to poczciwe duchy, ukazujące się tylko za dnia i błagające najpokorniej o Chrzest Ś., którego za życia przyjąć nie miały czasu. Za otrzymaniem wreszcie tej łaski, odkrywają zwykły wybawicielowi swojemu jaki skarb ukryty. Dodawszy jeszcze do tego rodzaj wilkołaka, znanego pod nazwiskiem *el Veludo*, tudzież niejakiego konia bez głowy, który pomimo tego śmiało galopuje pomiędzy grobowemi kamieniami Alhambry, będziemy mieli kompletny zbiór

nadprzyrodzonych istot, któremi stare matrony hiszpańskie straszyć lub bawić dzieci zwykły.

Szczęściem wierzą jeszcze w czarnoxieźników, szczególnie zaś w czarownice.

Milę od Murviedro stoi samotnie mała jedna chatka. Dręczony pragnieniem zatrzymałem się u niej. Bardzo ładna dziewczynka, chociaż nazbyt od słońca opalona, wyniosła mi wielki dzban z owej gębczastej gliny w której woda zawsze utrzymuje się chłodną. Przewodnik mój, który nie mijał drzwi żadnego domu bez najgorętszego pragnienia, zdawał się jednak nie mieć najmniejszej ochoty zatrzymania się na tém miejscu. — Noc zbliża się, mówił, a mamy jeszcze przed sobą znaczny kawał drogi; — o ówieré mili dalej leży gospoda daleko wygodniejsza, gdzie znajduje się nadto najlepsze na pułwyspie wino. Okazałem się atoli niewzruszonym. Piłem podaną mi wodę, zjadłem przygotowane ręką dony Carmencita *gazpacho*, i zrysowałem nawet jej portret w moim stambuchu. Przewodnik tarł tymczasem przeddrzwiami konia, świstał z niecierpliwości i zdawał się mieć wstręt widoczny do wejścia wewnątrz domu.

Puściliśmy się wreszcie dalej. Wspominałem często o donie Carmencita. Towarzysz mój potrząsał tylko głową, mówiąc: »złe to domisko!«

— Złe? *Gazpacho* było przewyborne!

— Naturalnie, kiedy go może sam diabeł gotuje.

— Diabeł? Dla tego może iż nie szczędzi pieprzu? Czyli też doprawdy sądziłbyś iż poczciwa ta gospodyni trzyma diabła w kuchni?

— Kto wie.....

— Ach, tak! Zapewne jest czarownicą!

Przewodnik obrócił się do koła, z widoczną niespokojnością i obawą czyli go kto nie słucha; przysporzył kroku koniowi uderzeniem po grzbiecie, i kłusując obok mnie rzędem, wzniosł do góry w znaczącym sposobie głowę, otwierając usta, i oczy ku niebu kierując. Ciekawość moja natężyła się i z ukontentowaniem przekonałem się iż towarzysz mój nie był niedowiarkiem.

— Azatem jest czarownicą? zapytałem, znowu konia wstrzymując. A jejże córka?

— Wszakże WPanu wiadome jest przysłowie: »Primeró p..., luego alcahueta, pues bruja!« Córeczka dopiero zaczyna, a matka dawno już dopięła celu.

— Skądże pewność iż jest czarownicą. Coż robi ona takiego coby zdanie to usprawiedliwiać mogło?

— To co wszystkie robia. Urzeka dzieci, wysusza drzewa oliwne, zabija muły.....

— Ale czyliż znacie chociażby jedną osobę coby była ofiarą jej złościwości?

— Czy znam? — Bezwątpienia: gdy n. p. własnemu mojemu stryjowi wypłatała jedną z najlepszych swoich sztuczek.

— Opowiedz, zmiłuj się.

— Wprawdzie stryj mój nie lubi ażeby przypadki jego opowiadano: lecz teraz znajduje się w Kadyxie i spodziewam się że to mu żadnego nieszczęścia nie przyniesie.

— Usunąłem do reszty te skrupuły darowaniem mu jednego cigarra. Ostatni ten argument zdał mu się nieprzewartym i począł opowiadać co następuje:

»Wiadomo wam bezwątpienia być musi, mój Panie, iż stryj mój nazywa się Henriquez, rodem z Grao, w Walencyi, rybak s professyi, człowiek uczciwy, ojciec licznej rodziny i dobry chrześcijanin jak całe jego plemię. Ja nawet sam, jakkolwiek ubogi, śmiało chlubić się mogę tym ostatnim zaszczytem, chociaż wielu jest ludzi odemnie bogatszych, którzy całym swoim złotem swojego maurytańskiego pochodzenia ukryć nie potrafią. Stryj mój, zatem, był, jak już wspomniałem, rybakiem w małej jednej wiosce, niedaleko Peniskola. Urodził się on na łódce swojego ojca, a gdy takim sposobem śród morza na świat przyszedł, niedziw iż na dobrego też wykierował się majtką. Był w Indyach i Portugallii, słowem wszędzie. Zlazłszy z wielkiego swojego okrętu, siadał na małą łódkę i dzień cały bawił się rybołowstwem. Wróciwszy zaś do domu, przywiązywał łódkę grubą liną do wielkiego kamienia i szedł spokojnie spać. Ale jednego ranku, gdy według zwyczaju chce na połów ryb odpłynąć i zbliża się dla odwiązania powrozu, obaczył..... zamiast dawnego swojego węzła, — który stryj mój związywał jak każdemu porządnemu majtkowi przystoi, — obaczył inny węzeł nowy, jakiby chyba zrobić mogła baba przywiązująca do żłoba oslicę! — »Zapewne małe chłopięta, pomyślił, musiały się wieczorem w czólnie mojem wozic. Niechajże którego złapię!« — Wsiada znowu, dzień cały ryby łowi i, wróciwszy wieczorem, z ostrożności, przywiązuje czólnie węzłem podwójnym. Ale nazajutrz znowu go niemasz! — Mój stryj wpada w gniew okropny. Ale coż poradzisz nie wiedząc nic o winnym! Kończy się natem iż znowu bierze nowy postronek i jeszcze mocniej łódź przywiązuje.

Nazajutrz wszakże znowu toż samo:..... postronek nowy zniknął i na jego miejscu włóczy się tylko po brzegu kawał zbutwiałego konopnego przedziwa. Ale i tu nie koniec: sam nawet żagiel był rozdartym: dowód najoczywistszy iż go w nocy rozwijać musiano! — «Nie chłopcy to już, pomyślał, rozwijają w nocy żagle.... Stary to jakiś złodziej... Coż, myślisz W Pan, stryj mój robi? — Oto, chowa się na noc w saméjże łodzi, tam gdzie zwykł zamykać ryż s chlebem kiedy się na kilkodniową podróż wybiera. Dla lepszego zaś ukrycia, osłania się starym swoim płaszczem. Około północy, — około samej mówię północy, — posłyszał wreszcie kilkanaście głosów, jak gdyby razem mnóstwo ludzi ku brzegowi się zbliżało. Podnosi nieco głowę, i postrzeżga..... nie złodziejów, mój Panie, nie złodziejów..... ale, o Jezusie drogi, s półtora tuzina starych bab, z gołemi nogami i rozpuszczonemi włosy!! — Stryj mój jest to człek doświadczonej odwagi, i na obronę przeciw złodziejom miał nadto za pasem dobrze wytoczony nożyk; ale obaczywszy iż sprawa s czarownicami, upadł na duchu; nakrył się płaszczem z głową i poleciał opiece N. Panny s Peniskola.»

Takim sposobem leżał on w swoim kącie, zwiniony w kłębek, w nieustannej obawie o życie. Czarownice, jak na toż, odwiązują linę, rozwijają żagiel i puszczają się na morze. Jeśliby to czółno było koniem, możnaby o nim nader właściwie powiedzieć iż leciało z rozpuszczonemi cugłami. Cokolwiek bądź zdawało się po morzu nie płynąć ale lecieć: co tem mniej zadziwiać powinno, iż czarownice, w braku naturalnego wiatru, mogą kazać dmuchać diabłom. Tymczasem stryj mój słyszał jak między sobą gwarzyły, śmiały się, płasły, i chwaliły się ze zła jakie wyrządzają ludziom. Niektóre z nich znajome mu były z widzenia; inne widocznie z dalekich stron przybyły. Pani Ferrere, stara czarownica w której domu dopiero-co tak długo popasaliście, siedziała u samego rudła. Nakoniec, po upływie niejakiego czasu łódź staje: czarownice wyskakują na brzeg i przywiązują ją do wielkiego kamienia. Skoro głosy ich nie dawały się więcej słyszeć, ośmielił się też wysieść na ląd i stryj mój Henriquez. Noc nie była nazbyt jasną, ujrzał jednakże o kilkanaście kroków wysoką trzcinę, którą wiatr miotał, w oddaleniu zaś wielki ogień, przy którym, bezwątpienia, czarownice szabas swój odprawiać musiały. Henriquez,

po krótkim namyśle, narzął nieco owej trzcinie, i ze zdobyczą swoją wróciwszy znowu do kryjówki spokojnie czekał powrotu czarownic. Jakoż, ukazały się one niebawem, zawróciły łódź i znowu poczęły płynąć niemniej szybko jak i przedtém, skąd stryj mój wniósł słuszenie, iż wkrótce na powrót do Peniskola zawiną. Wszystko szło jaknajlepiej, gdy nagle jedna z czarownic krzyknęła: »siostry! trzecia bije!!!« i, zaledwie wymówiła te słowa, wszystkie podleciały wgóre i znikły. Przecież dotąd, do tej godziny w której to Panu opowiadam, pozwalają im żyć pomiędzy ludźmi!! Natychmiast też wiatr ustał, łódź zatrzymała się i stryj mój sam musiał robić wiosłami. Bóg wie jak długo, biedak, błąkał się po morzu, nim do Peniskola wrócił. Wróciwszy, zjadł kawałek chleba, wypił skłankę wina, i poszedł do aptekarza, człowieka bardzo uczciwego i znającego się na wszystkich ziołach. Pokazał mu narzniętą przez się trzcinę i zapytał skądby pochodziła? — »Z Ameryki, odpowiedział aptekarz; w jednej tylko Ameryce trzcina taka rośnie; w naszym kraju nawet jej nasienie nigdyby zejść nie mogło.« — Stryj mój, nie mówiąc ani słowa aptekarzowi, idzie wprost do starej Ferrere i wchodzić rzece: »Szatanie! Tyś jest czarownicą!! — Jezus, Marya! krzyknęła przestraszona kobieta. — »Najlepszym tego dowodem jest iż co nocy jeździsz do Ameryki i nazad wracasz. Ja sam przeszłej nocy odbyłem s tobą tę podróż, i oto, patrz, trzcina, której tam narznałem!«

Tu, przewodnik mój, który wszystko to, wzruszonym głosem, z największym zapalem opowiadał, towarzysząc słowom jestami, wyciągnął nagle ku mnie rękę pełną trawy, której właśnie całą garść był wyrwał.

»Czarownica prosiła go, mówił dalej, ażeby tego nie rozgłaszał i zostawił ją w pokoju, wzięwszy sobie za to cały wór ryżu. Ale Henriquez odpowiedział, że nie da jej ani chwili spoczynku, dopóki go nie nauczy sposobu sprowadzania według potrzeby takiego właśnie wiatru, jaki ich pędził do Ameryki. Jakoż, czarownica dała mu kawał pergaminu, zamknięty w małej buteleczce, którą i dotąd, puszczając się na morze, zawsze przy sobie nosi.«

NIEKTÓRE TECHNICZNE SŁOWA UŻYWANE
NA TEATRACH PARYSKICH.

ANGLAISE (jouer une scene á l') Słowo to używanem jest do określenia sposobu ukazywania się na scenę tyłem ku widzom zwróconym. Metoda ta w wielkiem jest zachowaniu u młodych aktorek, mających wydatne i pięknie wykończone kłęby, które ukazują tym sposobem publiczności dobrą swoją stronę. Szczególniej marcowi kawalerowie przepadają za aktorkami, które, przez większą część gry swojej, patrzą wgląd sceny.

APPELER AZOR. Wygwizdać złą sztukę, złego aktora, lub brzydką aktorkę.

APPLAUDISSEMENTS. Oklaski. Dawanie oklasków przeszło dziś całkowicie pod wiedzę osobnej klasy ludzi znanych pod nazwiskiem klaskaczy, *claqueurs*. Jest to rodzaj gwardyi narodowej teatralnej, urządzonej w kompanije i brygady, pod rozkazami naczelnika, pod którego protekcją udaje się dyrektor lub aktorowie pomocy ich potrzebujący. Początek ich sięga jeszcze czasów Nerona, który utrzymywał na widowiskach znaczne oddziały młodych i silnych ludzi, których obowiązkiem było głośzyć, za danym znakiem, oklaskami całozgromadzenie. Znani oni byli pod nazwiskiem *juvenes*, naczelnicy zaś ich pod nazwiskiem *curatores*.

BAILLER AU TABLEAU. Aktor poziewa przy repetycyi sztuki w której rola jego nazbyt jest podrzędna.

BATTRE DES AILES. Machać rękami i robić w grze mnóstwo zbytecznych jestów.

BATTRE LE JOB. Szwankować na pamięci. Mówi się o aktorze który zatrzymuje się śród rozmowy z otwartą gębą.

BISSÉ. Zwrótką, na żądanie publiczności, powtarzana.

BRULER LES PLANCHES. Ożywiać scenę grą zajmującą i komiczną.

CHAMBRÉE (faire) Ściągać do teatru widzów.

CHATOUILLEUR. Człowiek, co za danym od naczelnika klaskaczy znakiem, śmieje się głoś-

no, dla zachęcenia innych do takiejże wesołości.

CHEF DE CLAUQUE. Naczelnik klaskaczy. Przez pieniężnych datków otrzymuje na każde przedstawienie od 40 do 80 bezpłatnych biletów.

CHEVROTER. Śpiewać kozim, skandowanym głosem.

COMPARES. Figuranci, najmowani na wieczór po 75 centimów od osoby.

DEMOISELLE DU MONDE. Nazwisko które sobie nawzajem dają aktorki, utrzymywane kosztem amatorów teatru i płci pięknej.

ENFONCER. (s') Upaść na sławie, Pokpić sprawę.

FAIRE DE LA TOILE. Stracić pamięć i stanąć z rozwartą gębą.

GRATTER AU FOYER. Nie ukazywać się na scenie przez kilka wciąż sztuk, bądź s powodu nieporozumień z dyrekcją, bądź z innej jakiegokolwiek przyczyny.

LAVÉR. Sprzedawać bilety bezpłatnie od dyrektora lub aktorów otrzymane.

MANGER SA CÔTELETTE. Świetnie wystąpić; ziednać powszechnie oklaski.

PARADE. (faire la) Zacząć grać sztukę przed pustemi krzesłami, oczekując nim *wielki świat* zebrać się raczy.

POMME. (employé aux trognons de) Urząd którego obowiązek zależy na wstrzymywaniu hord koczujących w górnym raju od ciskania na scenę ogryzkami od jabłek, łupinami z orzechów, kartofel i t. p. P. Mourrier, dyrektor teatru des Folies, w Paryżu, pierwszy urząd ten u siebie zaprowadził.

Rococo. Coś zużytego, staroświeckiego, wyszłego już z mody.

SOIGNER. (se faire) Najmować klaskaczy dla zagrzenia ku sobie publiczności, przy pierwszym wystąpieniu na teatr lub ostatniej reprezentacyi.

TIRER LA FICELLE. Śpiewać fałszywie, bez żadnego gustu i żadnej metody. Drapać uszy.

VEDETTE. Stawiać imię któregokolwiek z aktorów na szyldwachu, znaczy drukować je na afiszu literami daleko większemi od reszty. Na afiszach paryskich ukazują się częstokroć szyldwacha prawdziwie olbrzymich wymiarów.

Balamut wychodzi raz na tydzień, w Soboty. Cena roczna z pocztą r. ass. 20. Prenumerować można zapisując odezwy do Redakcyi, (Въ Редакцію Баламута, въ книжной Лавкѣ Смирдина, въ С. Петербурзь) lub do Gazetnej Ekspedycyi tutejszego Pocztamtu (Въ Газетную С. Петербургскаго Почтамта Экспедицію.) Prenumerującym posyłają się zawsze wszystkie numera od początku roku wyszłe.

ПЕЧАТАТЬ ПОЗВОЛЯЕТСЯ. С. - П. - бургъ, Февраля 8, 1854. Ценсоръ П. Гавескій.

ВЪ ТИПОГРАФИИ КАРЛА КРАЙЯ.